

My – Polacy i Niemcy*

„Bo przeszłość nie obroni się sama,
tak jak broni się terażniejszość i przyszłość...”

Tam, gdzie nie można niczego «uczynić»,
można przynajmniej odczuwać, niewyczerpanie...”

Vladimir Jankélévitch

I.

Właściwie z Polską początkowo nic mnie nie wiązało. Moje podróże wiodły mnie zawsze gdzie indziej: przede wszystkim na Południe lub na Bliski i Daleki Wschód. Pierwsza, tak bolesna konfrontacja z naszą niedawną przeszłością miała w moim przypadku miejsce w latach sześćdziesiątych w tak dobrze znanej mi Francji.

Wszystko zaczęło się od dwóch konferencji Akademii Ewangelickiej w Bad Boli na temat: „Medycyna a narodowy socjalizm”. Tutaj poznaliśmy Józefa Bogusza, który był emerytowanym ordynatorem Kliniki Chirurgii w Krakowie i przewodniczącym komisji etyki w polskim Związku Lekarzy. Z wielkim podziwem wspominał podczas naszej rozmowy świadectwo Wernera Leibbranda podczas norymberskiego procesu lekarzy. Gdy mu powiedziałem, że Leibbrand był moim nauczycielem, poprosił mnie, żebym opowiedział mu o Leibbrandzie i jego stanowisku podczas Norymberskiego Procesu Lekarzy.

W roku 1985 profesor Bogusz zaprosił kilkoro z nas do Krakowa na sympozjum „Wojna, okupacja i medycyna”, które odbywało się z okazji 40. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Oprócz mnie byli tam Christine Teller, Friedrich Leidinger i Klaus Dörner, jak również Götz Aly, Karl Heinz Roth i Helmut Siefert. Niełatwo było mi podjąć decyzję o podróży do Polski. Ale udaliśmy się w drogę. Przemawialiśmy na konferencji. I pojechaliśmy do Auschwitz. Było nam ciężko, ale po powrocie nasi gospodarze wspierali nas.

Grunt pod przyszłe przyjaźnie był przygotowany, kolejne wizyty zaplanowane. Tak więc w 1987 roku odbyliśmy podróż po Polsce śladami potworności okupacji nazistowskiej. Przytoczę tutaj po prostu moje zapiski z tej podróży, sporządzone na gorąco w natłoku przeżyć, w pośpiechu.

Dwudziestu siedmiu Niemców. Wszyscy w jakiś sposób uskrzydleni przez psychiatrię, przygnębieni – przynajmniej poruszeni. Wśród nich pracownicy socjalni, księża, dziennikarze, socjolodzy, pielęgniarki, ordynatorzy i inni lekarze. W wieku 28–58 lat. Niektórzy się znają. – I nasi rodzice jechali z nami, boleśnie to przeżywając...

Dziesięć wypełnionych dni: Międzyrzecz, Nowy Dwór Gdański, Warta. Miejsca zagłady osób chorych psychicznie, którzy według nazistów byli nieprzydatni. Miejsca starań o mające lecznicze właściwości spotkania z osobami nadzwyczaj wrażliwymi, dzisiaj. – A pośród tego wszystkiego emerytowany... profesor medycyny sądowej. W Poznaniu demonstrował nam okropności okupacji nazistowskiej,

*Wspomnienie o Marii Orwid i Andrzeju Piotrowskim.

co całkiem odjęło nam mowę... Pokazuje nam ból dziecięcego obozu w Łodzi... innego dnia oprowadza nas z pietyzmem, niemal zażyłe, ... po katedrze gnieźnieńskiej. Podążamy za nim z trudem, wstrząśnięci wczorajszym przerażeniem. Wieczorem: kilka piw i niewiele słów: przyjemnie błahych.

Kraków. Niesamowicie serdeczne powitanie spóźnialskich przed teatrem Groteską: Byli więźniowie obozu w Oświęcimiu czekali z trwożną radością na swoich gości z Niemiec. Przyjacielskie spotkania w krakowskiej klinice psychiatrii. Ponownie widziałem film „Szpital przemienienia”: przejmująca głęboko rzeczywistość... Potem znowu: tu i tam referaty o terapii, o „eutanazji”... i próba zbliżenia się do niepojętego. Gwałtowne wątpliwości wobec gładko brzmiących zdań, sympatia do tych spośród nas, którzy relacjonują raczej nieśmiało, czasami zacinając się. Jestem pełen szacunku dla Szymusika, kierownika kliniki. Poświęcał nam dużo czasu, mówił dobre słowa na dobre pożegnanie... Ale także dla Ryna, który powiedział: „Chcecie zrozumieć, co wasi ojcowie zrobili, my, co oni wycierpieli...”. Zbawczy końcowy akord, tak się przynajmniej wydaje, przemyślany i życzliwy, i pozornie, przez wszystkich przyjęty. Przez wszystkich? Czuję się, jakbym należał do tej grupy, odległe – samotny: jako trochę Żyd, nie całkiem Niemiec...

Przedpołudnie na Kazimierzu. Jeden jedyny raz całkiem sam, sam ze sobą.

Na zakończenie Auschwitz. Przewodniczka ta sama co przed dwoma laty – te same słowa, te same gesty. A przecież wszystko było inne, bliższe, bardziej niepojęte, o wiele bardziej własne.

Zbyt pośpieszna podróż: Międzyrzecz i Auschwitz – pozornie to samo. Nasi ojcowie: pozornie tacy sami. Sterylizacja i zniszczenie: to samo. Dzieci sprawców, dzieci ofiar, wszystko, my nawzajem, tak samo równi, równoznaczeni?

A przecież ważna podróż, właśnie z powodu ludzi: w Krakowie i gdzie indziej, w omnibusie. Tylko właśnie, to co dotyczyło nas, Niemców: ludzie w pośpiechu...

Co pozostaje? Noemi Ivana Golla i czarne mleko, być może na mocną wiosnę, jak i zdanie jednego z naszych polskich przyjaciół: „Oby poczucie winy pomiędzy nami zostało zastąpione przez uczucie miłości, miłość jest bardziej kreatywna” (Jacek Bomba).

- Ale miłość potrzebuje czasu, jeżeli chce coś zdziałać.

Z całą pewnością Polska przybliżyła się do nas, z odległego Wschodu powróciła do centrum Europy. Zawiązały się pierwsze przyjaźnie: z Adamem Szymusikiem, kierownikiem Kliniki Psychiatrii, z Cechnickimi, z Marią Orwid.

Ważnym rezultatem tej podróży było sympozjum w Gütersloh „Działania psychiatrii wczoraj i dzisiaj – z punktu widzenia etyki”, wielkie międzynarodowe sympozjum zorganizowane przez Hansa Stoffelsa w 1989 roku w Wyższej Szkole Medycznej w Hanowerze na temat skutków zewnętrznych zdarzeń traumatycznych. Chodziło przede wszystkim o traumatyczne przeżycia po pobycie w obozie koncentracyjnym. Referentami byli w większości ocaleni z obozów koncentracyjnych. Maria Orwid i ja kierowaliśmy tutaj wspólnie grupą około 50 uczestników wszystkich możliwych narodowości. Głównym tematem była problematyka, z jaką borykają się jeszcze dzisiaj dzieci ocalonych z holocaustu. Duże wrażenie wywarło na nas wystąpienie Yossi Hadara „Doświadczenie egzystencjalne czy syndrom choroby? Przemyślenia na temat Drugiego Pokolenia”. Yossi Hadar był psychiatrą, psychoanalitykiem i poetą. Właśnie jemu udało się jak nikomu innemu znaleźć odpowiedni do tej tematyki język, trafiający w sedno, balansujący pomiędzy naukowością, humanizmem i obrazową relacją. W ogóle zrozumieliśmy coś, co w następnych latach miało stanowić dla nas ciągłe wyzwanie: znaczenie języka, słów, które miały określać to, co nas porusza.

Potem pierwsze partnerstwa pomiędzy klinikami w Polsce i w Niemczech – np. pomiędzy kliniką w Warszawie pod kierownictwem Andrzeja Piotrowskiego i Marii Załuskiej, a nami w Mönchengladbach, jak również założenie naszego Towarzystwa w Münster przed 20 laty z dwoma jakże ważnymi przewodniczącymi – Adamem Szymusikiem i Klausem Dörnerem.

A potem te sympozja: zawsze wyprowadzały nas poza psychiatryczną codzienność. I tak w Bethel, gdzie Detlef Klotz kierował pierwszym niemieckojęzycznym sekretariatem naszego Towarzystwa, na sympozjum „Psychiatria po Auschwitz” stawialiśmy ważne, niemożliwe do uniknięcia pytanie „Czym jest człowiek?” I rozmawialiśmy o obrazie człowie-

ka, o prawach człowieka, o uszczęśliwianiu człowieka i w ogóle o podatności człowieka na uwiedzenie. Po raz pierwszy w sympozjum uczestniczyli również koledzy z NRD. I tak Sonja Suił opowiadała o tamtejszych przypadkach nadużyć psychiatrii.

Innym razem omawialiśmy pojęcie osoby w psychiatrii, trudne poszukiwanie tożsamości własnej i „narodowej”. Ciągłe też zadawaliśmy sobie pytania o psychiatryczną praktykę, zwłaszcza o „deinstytucjonalizację” i o psychiatrię środowiskową.

Temat następnego sympozjum w Krakowie w 1999 roku brzmiał „Wolność i odpowiedzialność w psychiatrii. Podstawy działania w psychiatrii”. Przedmiotem sympozjum były problemy praktyki psychiatrycznej w ogóle, a nie tylko problemy etycznych podstaw psychiatrii. Na zakończenie pierwszej dużej części sympozjum spotkaliśmy się po raz pierwszy, spełniając od dawna skrywane życzenie, w Centrum Judaicum na Kazimierzu z kolegami z Izraela. Początkowo chodziło całkiem ogólnie o „mity i tabu”. Maria Cechnicka mówiła o uzdrawiającym działaniu oswoadzającego słowa dla tego, kto do tej pory milczał. Ale mówiła też o bólu łamania tabu, „bo nie ten za styga, zamieniając się w słup soli, kto ogląda się za siebie, lecz ten, kto zobaczył obrazy, dla których brak jest wyobraźni i słów”. Haim Dasberg mówił sugestywnie o tym, ile czasu upłynęło także, a może właśnie w Izraelu, zanim można było otwarcie dyskutować na temat traumatycznych psychicznych skutków Holocaustu. Maria Orwid opowiadała o pomocy i leczeniu od samego początku osób ocalałych z obozów w Krakowie.

Sympozjum w Łodzi stanowiło kontynuację tematów omawianych już wcześniej: Henry Szor poruszył nas swoją opowieścią o swojej wczesnej młodości spędzonej w tym mieście, o swoich wymordowanych przez Niemców krewnych, których nigdy już nie poznał, o swojej drodze przez Niemcy do Izraela. Po nim głos zabrała dziennikarka Katarzyna Zimmerer. Powiedziała dosłownie: „Jestem Polką. Wychowała mnie polska historia, kultura, tradycja. – Ale: Mój ojciec był Niemcem... Moja matka uważa siebie za Polkę... Ale: moja matka przyszła na świat w religijnym żydowskim domu. Gdy jej ojciec leżał na łożu śmierci i błogosławił swoje dzieci, prosił je, aby pozostały pobożne. Żadne z jego dzieci nie spełniło

tej prośby...”. Tożsamość jako poszukiwanie w „pomiędzy”, – rzadko czułem się tak bezpośrednio poruszony. To była właśnie moja historia...

Na sympozjum w Opolu chodziło w końcu o „historyczne dyskursy biegnące w przeciwną stronę”, a tym samym także o jeden z najbardziej obciążających tematów tabu: o ucieczkę i wypędzenie. W swojej wyważonej analizie stosunków pomiędzy Polakami, Żydami i Niemcami, zamieszczonej dwa lata wcześniej w „Dialogu z drugim człowiekiem”, historyczka Anna Wolff-Powęska dała nam impuls do przekraczania własnego, zawsze ograniczonego punktu widzenia i namawiała do „wczuwania się w drugiego człowieka”. Erich Wulff zakończył swoje opolskie wystąpienie słowami: „I wreszcie istnieje jeszcze jedna, ostatnia forma uporania się z utratą ojczyzny... Wymyślenie i zaangażowanie siebie jako obywatela świata... Niektórzy emigranci przeszli tę drogę, która obiecuje możliwość zapuszczenia korzeni na całej planecie Ziemia... empatię odczuwaną względem każdego człowieka i na odwrót... dalszy rozwój ludzkiego rozumu...” Cudowny głos za zasadą praw wszelkich – za koegzystencją wolnych ludzi na ograniczonej przestrzeni.

I tym chciałbym zakończyć moje bardzo osobiste reminiscencje z naszych sympozjów.

Nie wspominałem o wielu sprawach. Przede wszystkim o tym, co było najpiękniejsze: o wspaniałych imprezach, o tych wielu osobistych rozmowach, o tym czy innym małym flircie, o wspólnych spacerach po szczególnych miejscach, o bliskości na skraju własnie...

II.

„Pochodzenie, powiedziała kiedyś krakowska poetka Ewa Lipska, pochodzenie jest obciążeniem dla pamięci. Tym, co nas jednak bardzo łączy, jest «wspólne zakłopotanie».

Pochodzenie, zakłopotanie i pamięć od pierwszego dnia determinowały nasze spotkania. Nam, Niemcom, było na początku bardzo trudno odnaleźć drogę do Polski. Nikt nie oddał tego lepiej niż Klaus Dörner, który z początku nie miał odwagi przyjąć zaproszenia do Krakowa, ze wstydu za to, co Niemcy wyrządzili Polakom. Dopiero Józef Bogusz zdołał go przekonać, dobitnie wyrażając życzenie, że ze względu na swój podeszły wiek jeszcze raz

chce się z nim zobaczyć. My też czuliśmy się zakłopotani, gdy po raz pierwszy przyjechaliśmy do Polski. Nie chcieliśmy nigdzie zachować się niewłaściwie.

Te pierwsze podróże były pełne powagi i konsternacji. Gdy w 1987 roku w Krakowie pokazano nam film pt. „Szpital Przemienienia”, brakło nam słów. Nasze zakłopotanie rozwinęło się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy rozmawiać nie tylko o brzemieniu historii, lecz także wymieniać poglądy na temat codziennej pracy w psychiatrii i życia prywatnego. Co oczywiście pozostało, to nasza pamięć – pamięć Polaków i Niemców. Żądamy jej w naszej pracy od naszych pacjentów, bez pamięci nasze działanie nie miałyby fundamentów. Towarzyszy nam zawsze, gdy rozmawiamy z innymi ludźmi. Pamięć stanowi o naszych własnych doświadczeniach, nie da się jej łatwo wymienić lub podzielić. A już w ogóle nie da się jej zalecić. Ale można ją przekazywać, a wtedy zazwyczaj uzupełnia się ją o opowieści zasłyszane od innych, od rodziców lub dziadków, w szkole albo od przyjaciół i znajomych. Gdy kiedykolwiek zastanawialiśmy się nad naszymi kolejnymi doświadczeniami, uświadamialiśmy sobie, jak bardzo początkowo musiały się wzajemnie wykluczać. Ale właśnie te dzielące nas „pęknięcia” stały się tym, co w końcu przywiodło nas ku sobie. I była to też obecność pośredniczących osób trzecich, np. osób o mieszanej niemiecko-polskiej tożsamości, która ułatwiła nam wzajemne odnalezienie się.

No i jest jeszcze ukryta taśma, rodzaj „narracyjnej nici”, łączącej nas, Polaków i Niemców – „żydowskość”. Odkryli nam to Bogusz, Szymusik, Stefan Leder, a przede wszystkim Maria Orwid. Inni, jak Katarzyna Prot-Klinger nagrali tę taśmę i utrwalili ją. Tak więc wydawało nam się, że logicznie będzie odważyć się na próbę nawiązania kontaktu z psychiatrami i psychologami z Izraela. Ich obecność jako tych trzecich w zmieniających się czasem sojuszach dała nam możliwość przeniesienia naszych debat, prowadzonych często w sposób niewiążąco-prywatny, w pewnego rodzaju przestrzeń ciągłą jeszcze luźnej, jednakże już „zobowiązującej jawności”.

Jednak nie było to takie proste, jakby się mogło wydawać. Nad pierwszym spotkaniem w Krakowie z gośćmi z Izraela, którzy po raz pierwszy odbywali podróż do kraju swoich rodziców, ciążyła głęboka nieufność. W stro-

nę gospodarzy kierowane były raniące słowa obarczające ich winą, podczas gdy tych niewielu obecnych tam Niemców pozostawiono w spokoju.

Niels Pörksen dał wyraz naszemu zakłopotaniu.

Jedna z psychologek z Izraela wypowiedziała słowa, które odczuliśmy jak niemal fizyczne dotknięcie:

„To, co wam zarzucam, moja nienawiść względem Polaków, bierze się z mojej miłości. Wszystko, co czuję, czym jestem, jest Polską; ta nienawiść, to przerażenie – to jest ta ukryta ciemna strona we mnie...”.

Jednak wszystko to miało się zmienić po pierwszej konferencji w Izraelu i po kolejnych sympozjach. Przede wszystkim podczas naszego następnego spotkania w Krakowie, gdzie w grupach intensywnie zajmowaliśmy się naszą własną historią. Tematem było pytanie Jankélévitcha: Pardonner. Wybaczenie? – czy to jest w ogóle możliwe w przypadku tej potworności, o którą nam chodzi, czy wolno do tego dopuścić czy nawet trzeba?

I: Czy nie jest na to zawsze zbyt późno?

Maria Orwid powiedziała, że w przypadku oficjalnych wypowiedzi wybaczenie jest absolutnie niedozwolone. Bo niby kto mówi za kogo? Ale w osobistych kontaktach wolno, a nawet powinno być zupełnie inaczej. Ale osoba „ocalała” musiałaby przynajmniej odważyć się na próbę wybaczenia, choćby ze względu na swoje ocalenie. Ale nie jej dzieci. Te nie mogą tego uczynić – ze względu na poczucie lojalności i szacunek wobec tego, co przydarzyło się ich rodzicom.

I: Czas, mijanie czasu, na co tak chętnie stawiamy, nie posiada żadnych moralnych kompetencji. Ale czas może pomóc w zbliżeniu się do siebie nawzajem, we wzajemnym poznaniu się, a być może w końcu w lepszym wzajemnym zrozumieniu. – Myśląc o tym wszystkim miałem szczęście natknąć się w naszej grupie na Moshe Landau i jego żonę Eti. Po dłuższym wahaniu odważyli się na podróż do kraju urodzenia swoich dziadków i rodziców. Dzięki nim, dzięki rozmowom z nimi, dzięki temu, co opowiedzieli mi o sobie i o tym, co stracili, nauczyłem się naprawdę rozumieć, dlaczego pierwsze spotkanie z Izraelczykami musiało się tak potoczyć, jak się potoczyło.

Wydawało się, że podczas późniejszych sympozjów „sojusze” te przekształcały się:

Polacy i Izraelczycy poznali się lepiej. Niemcy znajdowali się raczej na marginesie, od czasu do czasu myśleliśmy nawet, że przeszkadzamy w porozumieniu. Ale myślę, że właśnie i to miało swój sens.

Podczas tych dyskusji stało się dla nas – Niemców – jasne, jak mało wiemy o naszym kraju sąsiedzkim. Zbyt słabo znaliśmy polską historię, zbyt słabo rozumieliśmy napięty stosunek Polaków do Rosji. A po przelomie my – Niemcy – byliśmy przede wszystkim sami zmuszeni do zorientowania się w nowej rzeczywistości.

Z drugiej strony rozwinęły się żywe partnerstwa. Spotykaliśmy się w celach fachowej wymiany na temat psychiatrii środowiskowej, a zwłaszcza – w okresie transformacji politycznej i socjalnej – w celu omówienia problemów finansowych oraz tych z zakresu przepisów ubezpieczeniowych. Tak więc burmistrz współpracującej z nami dzielnicy Warszawy mieszkał u naszego burmistrza i zdobywał stosowne informacje, podczas gdy pracownicy psychiatrii z Warszawy przebywali u pracowników naszej kliniki, gdzie wymieniali poglądy na temat psychiatrii i swojego życia. Ogółem dwanaście razy pacjenci z Mönchengladbach spędzali urlop z pacjentami naszej kliniki partnerskiej. W ten sposób nawiązały się także przyjaźnie pomiędzy pacjentami i ich rodzinami. Coraz częściej w dialogu uczestniczyli również beneficjenci, nie należący do wąskiego grona profesjonalistów. Na dorocznym sympozjum w Lublinie dwie byłe pacjentki prezentowały swoje referaty, w których wyrażały swój apel o „ludzką psychiatrię”.

Lista ich żądań była długa: znajdowały się na niej takie obiektywne żądania, jak zwrócenie uwagi polityki, zapewniona egzystencja, kompetentna terapia, praca, stały terapeuta oraz rozbudowany system środowiskowych form pomocy, oraz potrzeby subiektywne, jak wzbudzenie zainteresowania, uznania, kontakty społeczne i uprzejmość, a także chęć posiadania terapeuty, dającego poczucie pewności i nadzieję.

Od wielu lat istnieje, początkowo pod kierownictwem Sabine Radtke-Götz i Stefana Ledera, tzw. „grupa robocza do spraw tabu”. W grupie tej próbuje się rozmawiać na temat ciemnych stron naszej historii i naszego wzajemnego postrzegania się. Że to nie jest takie łatwe, rozumie się samo przez się.

Warunki, w których wykonujemy naszą pracę na psychiatrii stale się zmieniają. Obydwa nasze kraje musiały na nowo zdefiniować swoje role w stale zmieniającym się świecie. Wydaje się, że nadszedł czas na strząśnięcie z siebie balastu przeszłości i wzajemnych uprzedzeń. Ale nie jest to takie proste. Niemcy przegrały wojnę, a mimo to w okresie pokoju są zwycięzcami, i to nie tylko w sensie ekonomicznym. W przypadku Polaków było odwrotnie, co stwarza pewien rodzaj nierównowagi, która musi prowadzić do drażliwości.

Po stronie niemieckiej istnieje też nieuzasadniona, rzekomo „cywilizacyjna wyższość”, która na pewno się zmniejszyła, odkąd Niemcy więcej wiedzą o swoim sąsiedzie. W tych grupach można było o tym wszystkim rozmawiać – o niepojętych cierpieniach, jakie Niemcy zadali Polakom, o cierpieniach, jakich Niemcy po wojnie doznali w Polsce. Opowiadaliśmy sobie historie życia naszych rodziców i dziadków. Niektórzy z nas mieli żydowskich przodków. Przodkowie innych byli nazistami. – Krzysztof Szwejca uważa, że jest tak, ponieważ silniejsza Polska nie potrzebuje już obrazu „złego Niemca” jako części swojej kolektywnej tożsamości.

Ale, pyta dalej, co może skrywać się za zniknięciem tego obrazu?

I apeluje do nas, żebyśmy zajęli się tą pustą przestrzenią, dokładnie ją zbadali, tak jak badamy naszych pacjentów.

Czy ta pustka oznacza uwolnienie się od bolesnego związku, związku, który tylko wzmagą te doznane cierpienia?

A może udziela wsparcia zapomnieniu, które doznane nieprawości pozbawia publicznego uznania?

Nasze kolektywne wspomnienia pełne są pułapek utrudniających postrzeganie zdarzeń, które nigdy nie przeminęły całkowicie.

A mimo to naszym zadaniem pozostaje odkrywanie przeszłości jako ciągle możliwej teraźniejszości.

III.

Gdy tak zastanawiam się nad 25 latami spotkań niemiecko-polskich, to uświadamiam sobie, co dzięki nim zyskałem. I to nie tak bardzo dzięki wymianie doświadczeń zawodowych, która z pewnością pomogła w zachowaniu trwałości naszych kontaktów.

Pierwszorzędnego znaczenia nie miały też wizyty w miejscach, w których wydarzyły się

potworności popełnione przez Niemców. Te wizyty i dyskusje, jakie wywołały, stanowiły punkt wyjścia dla naszych spotkań.

Nie były to też debaty na temat „dobrej polityki”, chociaż właśnie w okresie przed i po transformacji w Polsce i w Niemczech były one niewiarygodnie emocjonujące. Dla mnie decydujące były spotkania z ludźmi, których mogłem poznać w Polsce, w Niemczech, w Izraelu. Rozmowy, które prowadziliśmy, czasami także zapadające między nami milczenie – o którym Maria Cechnicka kiedyś tak cudownie mówiła – delikatność towarzysząca naszym spotkaniom.

Dla mnie osobiście otwarła się dzięki temu przestrzeń, która do tej pory była dla mnie zamknięta. Przestrzeń niezbyt umocnionej tożsamości, przestrzeń z pewnością krucha, ale właśnie bardziej rozległa i piękna, która – mam nadzieję – pozwoli mi jeszcze na wiele odkryć.

Ostatnio spotkaliśmy się w Paderborn, w starym mieście, w którym już przed tysiącem

lat rozstrzygały się losy „Sacrum Imperium”, wielkiego „świętego” europejskiego cesarstwa.

Podczas ostatniej wojny miasto zamieniło się w ruinę. Dziś jest kwitającym ośrodkiem uniwersyteckim. Ale blizny po wydarzeniach niedawnej przeszłości pozostały. Nie da się ich usunąć.

Ale w tym mieście żyją dziś inni ludzie – bardziej kolorowi, bardziej różnorodni. Ludzie z innymi zwyczajami i formami życia.

Trzeba zaakceptować i kształtować tę nową różnorodność, która wymaga od nas trudu i która przede wszystkim oznacza wzbogacenie.

W kwestii moralnych i politycznych konsekwencji wynikających z tego aktu uznania musimy się zresztą jeszcze porozumieć.

To pokaże nam, gdzie stoimy i kim jesteśmy.

I to byłoby, mam nadzieję, w duchu nowej, otwartej Europy, w którą pozostanie wpisana – w dobrym znaczeniu tego pojęcia – wielka, stara Europa...